

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 2go Lipca 1880.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca:
Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.,
pod opaską 3¹/₂ złp. = 175 fen.
Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Stefan Augustyn Drescher
w Poznaniu.

80. PIEŚŃ O MIERNOŚCI.

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nic nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta i wysokie grody.

Ten pan zdaniem mojim,
Kto przestał na swoim.
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.

Siła posiadał włości,
Kto ujął chciwości.
Trudniej to przyjdzie, niż Turki zhołdować,
Albo waleczne Tatary wojować.

Mocą wiele świata
Wziął za krótkie lata
Król macedoński, lecz mu się tak zdało,
Że nań samego świat był jeden mało.

Cóż pomoże zbroja,
Abo władza twoja?
Serca nie złęczą żadne złotogłowy,
Żadny skarb troski nie wybiję z głowy.

Więc śmierć nieużyta,
To za gardło chwyta,
Bogate pany, jako proste sługi,
Ani zborguje, byś wyciągnął długi.

Lecz przed się człowiecza
Wszystka o tém piecza,
Aby ku złotu złota przybywało;
Bo, by najwięcej, łakomemu mało.

Wszystko to zostawa,
Po twój śmierci pana!
A coś ty zebrał przez ten czas łakomie,
To się ostoji nie wiem w czyjim domie.

Sklep ten nie dobyt
Puść prędko nity,
A winem, co się ty fraszujesz o nie,
Będzie zamaczał potomek twój konie.

J. Kochanowski.

Poradnik wychowawczy.

(Ciąg dalszy.)

6. Szczepienie ospy.

Błogie skutki nauki okazują się mianowicie w szczepieniu ospy, owęj straszliwej zarazy, której mianowicie podlegają ludzie. Wszelkie bowiem klasy organizmów, to jest ciała zwierzęce, podlegają według swego rozgatunkowania pewnym, tym tylko klasom właściwym chorobom. Widzimy, że kiedy panuje cholera u ludzi, bydlę ma się dobrze — i odwrotnie.

Do takich chorób, na ludzi przypadających, należy ospa — ośpice. Dawniej straszna liczba nieszczęśliwych ginęła na ospę, a taka sama znowu liczba nosiła na całe życie piętno tej nieszczęśliwej zarazy. Całe ciało wyglądało, jak gdyby pokłóte — miejscami blade, miejscami czerwone. Komuż zresztą nieznana twarz ospowata?

Teraz rzadko wprawdzie znachodzimy takie twarze, ponieważ szczepienie ospy usunęło niebezpieczeństwo rozwinienia się tej straszliwej choroby. Aby uniknąć rzeczywistej choroby, wzbudza się pozorną, która w ciele ludzkim znajdujący się jad zawczasu wydobywa i niszczy, tak, że tylko w późniejszym wieku zarażenie się może jeszcze tę chorobę wywołać, ale nigdy ona sama ze siebie już na jaw wystąpić nie może.

Cóż to jest ospa? Jest to wyrzut skórny, połączony z fębrą. W każdej chroście zbiera się ropa, która jest w wysokim stopniu zaraźliwa. Zwykle kto raz w życiu miał ospę, po raz drugi jej nie dostanie. Pomimo tego w czasie zarazy ospowej i to nie pomaga, gdyż i ludzie z twarzami ospowatymi dostają nieraz tej choroby po raz drugi.

Przebieg ospy jest w najgłówniejszych zarysach następujący.

Osoba zarażona dopiero dnia siódmego uczuje skutki jadu; dopiero wtedy następują dreszcze i fębry, trwające do trzech dni. Już dnia trzeciego zaczynają się pokazywać czerwone plamy, najprzód na twarzy, potem na piersi, rękach, i tak dalej. To znowu trwa trzy dni, po których z owych plam wychodzą chrosty, które

się zapalają i przechodzą w ropienie. Febra ustawicznie choregos przez cały ten czas dręczy. Skoro ropa wyciekła, natencza chrosty zasychają, odłupują się, i chory przychodzi do zdrowia, zatrzymując na całe życie twarz, tak zwaną ospowatą.

Opisany przebieg choroby jest bardzo szczęśliwy. Niestety! nie za każdą razą idzie tak gładko, ale bądź to choroba rozwinęła się bardzo, albo zaziębienie, nim jeszcze chory uczuł, na co choruje, wyradza tak zwane pytocie, i nieszczęśliwy bez ratunku zgubiony. A łatwo jest się zaziębić, ponieważ w pierwszych dniach nikt nie może odgadnąć na co zachorował, tymczasem gorączka go trawi, i nie dziw, że rad się odkryje, racząc się chłodem, który mu właśnie śmierć przynosi.

Ospa jest w każdym razie straszną chorobą, gdyż jeśli nie zabije, to przynajmniej zeszkaradzi i oszpeci, a nie ma, a raczej dawniej nie było żadnego środka, któryby przed zarażeniem się zabezpieczał. Zauważyć jednak można, że nie każdy człowiek i nie zawsze ma skłonność do przyjęcia w siebie jadu ospowego. I tak w czasach, kiedy ospa straszliwie grasowała, niektóre osoby opatrujące chorych, pozostały wolnymi od choroby, gdy tymczasem te same osoby w innym, może mniej niebezpiecznym razie się zarażały. Zarazić się zaś można tylko przez dotykanie, albo wreszcie oddychanie bezpośrednio wyziewami chorego. Jad ospowy nie rozpuszcza się w powietrzu, ztąd i natenczas nie ma niebezpieczeństwa, chociaż w sąsiednich domach ospa panuje; oczywiście wystrzegać się tylko trzeba bezpośrednio obcowania z chorymi.

Ospa, aczkolwiek dręcząca Europę, nie jest jednakże dzieckiem Europy. Długie, bardzo długie wieki nie znano ospy. Wędrowni jej do Europy i rozprzestrzenienie się po całym świecie następowało zwolna.

Ojczyzną ospy jest Etyopia; ztamtąd dostała się r. 572 po nar. Chr. do Arabiji. W pierwszej połowie VIIgo wieku dostała się ona do Egiptu, a ztąd przeniesli ją krzyżowcy w czasach wojen krzyżowych do Europy, i to najprzód do Hiszpanii, ztąd do Francji, a z Francji rozszerzyła się na całą Europę. Europejczycy znowu przeniesli zarazę do Ameryki, i tam uszczęśliwili nią czerwonoskórych Indyan. Nawet Grenlandya nie ostała się przed tą straszną zarazą.

Kiedy dzisiaj obejrzymy się w około, nie spostrzegamy, aby owa zaraza była istotnie tak niebezpieczną. Rzadko kiedy słyhać o przypadkach rozwinięcia się choroby. Dawniej zaś była ospa straszliwszą od samej cholery i więcej zabierała ofiar, aniżeli cholera azjatycka.

Zmianę tę winniśmy szczepieniu ospy. Oczywiście w obec takiego nieprzyjaciela, jakim jest ospa, trzeba się było mieć na ostrożności i szukać środków zaradczych. Zauważono, że kto raz już miał ospę, po drugi raz zwykle już jej nie dostawał, a jeśli jednak jeszcze zachorował, to choroba ta miała całkiem łagodny przebieg. Turcy, tak dbali o piękne twarzyczki swych żon i córek, pierwsi wpadli na pomysł szczepienia jadu ospowego. Wprawdzie ich inokulacja (zaszczepienie) połączona była z niebezpieczeństwem, gdyż ospa mogła się w zaszczepionym rozwinąć w całej pełni, co się nie rzadko zdarzało, jednakże w ogólności okazało się szcze-

pie nie korzystnym, raz że chorobę kunsztownie wzniecano w czasie dla chorego najdogodniejszym, a mianowicie w odpowiedniej porze. Tak na ten sposób choroba mięwała łagodny przebieg, ale już był pewnym, że w życiu więcej razy — przy ochranianiu się — nie dostanie ospy.

Zaprowadzenie inokulacji do Europy zawdzięczamy Angielce, pani Maryi Montague, która na początku 18go wieku pierwsza z Europejczyków kazała szczepić ospę swemu własnemu synowi. Tak tedy rozpowszechniło się szczepienie najprzód w Anglii, a potem w całej Europie. Naturalnie, że strasliwa o to zawrzała walka; jedni byli za, drudzy przeciw szczepieniu; w końcu dobra sprawa przemogła i rządy zaprowadziły obowiązkowe szczepienie.

Tymczasem jeszcze szczepienie miało tę niedogodność, że szczepiono ospę ludzką, a zatem choroba nieraz rozwijała się na dobre, i ten i ów uległ jej nawet.

Dopiero Edward Jenner, (ur. 1749go, † 1823), zrobił odkrycie, że i krowia ospa wzbudza chorobę, ale... bez wszelkiego niebezpieczeństwa. Odkrycie to uratowało świat cały; ospa straciła całą grozę, a człowiek każdy bezpiecznym być może o siebie i swą rodzinę.

Jak każde odkrycie, tak i to nastąpiło w sposób pojedynczy. Jenner zauważył, że kobieta dojąca krowę z ospowatą wymieniem, zarażała się, ale bez żadnego niebezpieczeństwa. Inny lekarz zapewne już też to dawniej zauważył, ale brakło mu geniuszu do wyzyskania swego spostrzeżenia. Jenner tymczasem zaczął wakcynę (krowią ospę) szczepić, i skutek uwieńczył dzieło, a Jennerowi zgotował nie tylko sławę, ale wdzięczną dlań od całego świata pamięć. Parlament angielski wprawdzie w roku 1802 darował mu w nagrodę 30,000 funtów szterlingów, to jest 200,000 talarów, ale zapewne sława i sławne poczucie swęj wielkości przewyższa jeszcze owę sumę.

To, co teraz dzieciom szczepiają, nazywa się limfą, a jest to jad ospowy, ale wzięty z krowy, dla tego zowie się też wakcyną, ponieważ po łacinie krowa nazywa się vacca (waka). Chrosty, lubo się na dziecięciu zbierają, jednakże nie zawierają w sobie jadu czysto ludzkiego, ale coś połowicznego, czyli niby jad ludzki, niby krowi, a zatem człowiekowi nieszkodliwy, a jednakże wszelki ospowy jad z człowieka wyciągający. Szczepioną ospę nazywają weryoloidą.

W Prusiech istnieje obowiązkowe szczepienie, i to każde dziecko musi być szczepione w tym roku, w którym według kalendarza ukończy rok jeden. Np. dziecko urodzone 2go Stycznia 1880 roku, jeszcze w ciągu roku 1880 nie jest obowiązane stawić się do szczepienia, albowiem dopiero według kalendarza skończy 2go Stycznia 1881 roku jeden rok życia, a zatem dopiero w 1881 może być szczepione.

Dzięki oświacie, matki już teraz nie ukrywają dzieci i chętnie podają szczepieniu. Same mogą się przekonać i przekonały się, że szczepienie jest niesłychanie wielkim dobrodziejstwem dla ludzkości. Pomimo tego zdarza się jeszcze, że niektóre matki, a więcej jeszcze nierozsądne, lekkomyślne piastunki, ociągają lim-

fę dziecieniu z ramion po wszczępieniu, aby tym zapobiedz rozjątrzeniu, przez co od dziecienia oddalą wprawdzie zwykłą przemijającą chorobę, ale je przez to narażają na zachorowanie na prawdziwą ospę.

Szczepienie ospy według prawa powinno nastąpić w tym roku, w którym dziecko według kalendarza ukończy jeden rok. W czasie jednakże, gdyby miała ospa panować, nie trzeba czekać aż do publicznego terminu, ale dać dziecieniu szczepić pierwszemu lepszemu lekarzowi. Zresztą im dziecko prędzej szczepione, tém tak dla niego, jak i dla matki lepiej. Dziecię, póki małe, nie może się drapać, rzucać, przewracać, a ztąd łatwiej uniknąć rozjątrzenia się chróst i tém samém większego rozdrażnienia.

Dziecię zwykle przez kilka dni ma trochę gorączki, może i fębry. Taki jest skutek ściągania, jakie powstaje z wydobywania się ospowego jadu. Nic to jednakże nie szkodzi i dziecię wróci wnet do zdrowia. Właściwie fębry takiej nie można nazywać chorobą — i téż w całym tym czasie można dziecię kąpać, wynosić na świeże powietrze, strzegąc je tylko przed zaziębnieniem i przed nadmiarem pokarmu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OMRAH.

Chłopiec buszmański.

Przygody podróżnych w połudn. Afryce.

Opowiedział

Fr. Xaw. Tuczyński.

(Ciąg dalszy).

9. Antylopy.

Wypocząwszy dostatecznie, trzeba było udać się dalej na północ, bo aż do samej rzeki Żółtej, ale że w obecnej porze aż do samej rzeki nie znaleziono ani wody ani pastwiska, dla tego zmieniono plan, i posuwano się dalej po nad wybrzeżami strumienia, który, chociaż wysychł, jednakże tu i tam dla swych zakrętów utworzył kilkanaście kałuż.

Wybrzeża, mianowicie na mokrzejszych miejscach, tworzyły całe lasy sitówia i trzciny. Było wprawdzie mało co jęść, ale za to pełno napotymano lwów i innych zwierząt drapieżnych, które podróżnym niejednego wołu i niejedną owcę pożarły.

Ztąd téż podróżowano tylko od świtu, aż do południa, a po południu pasiono bydło ku wieczorowi. Dawniej zawsze paszenie odbywało się wieczorem, ale teraz byłoby to za nadto niebezpiecznym, gdyż właśnie wieczorem drapieżne bestyje wychodzą na połów. Podróżni tedy mieli każdego popołudnia dosyć czasu, aby się oddać polowaniu.

Karawana doszła do miejsca, gdzie przepyszna natura, ozdobiona mimozami i innemi drzewami, zapraszała prawie, aby tu rozbić namioty. Oddalenie od rzeki wynosiło kilkanaście set kroków, co było bardzo

wygodną rzeczą, gdyż obóz nie był narażonym na zwiaady lwów, które nocą zwykły chodzić do wody.

Skoro tylko napojono bydło, podróżni dosiadszy koni odjechali, celem przepatrzenia okolicy. Ponieważ nachylenie się płaszczyzny ku rzęce było znaczne i tak z jednej, jak i z drugiej strony dość wysokie wzgórza zasłaniały widnokrąg, przeto podróżni wyjechali na grzbiet łańcucha, zkad mieli otwarty przed sobą kraj-obraz.

Zwierzyny jednakże widać nie było. Za to Omrah zaczął się przypatrywać ułamanym gałązkom, a wreszcie rzekł: Tędy słonie przechodziły! Kiedy Aleksander i major z niedowierzaniem spoglądali, nie widząc żadnego innego znaku, potwierdził Bremen zdanie Omry i oświadczył, że trzoda słoni musiała dopiero przed kilku dniami opuścić to miejsce.

Ale nie tylko trafiono na ślad słoni, lecz Bremen niedługo wskazał na inny całkiem ślad. Bremen właśnie oddalił się cokolwiek od towarzystwa. Zapytano Omrę, coby to za trop mógł być. Na nieszczęście Omrah nie umiał w języku europejskim nazwać tego zwierzęcia, dla tego rzucił się na ziemię i zaczął naśladować jakieś zwierzę tak ruchem, jak i głosem. Podróżni jednakże nie mogli zrozumieć jego pantominy. Dopiero, kiedy Bremen nadjechał, wytłómaczył im, że to ślady bawołów, które dopiero minionej nocy w tém miejscu przebywały.

Podróżni się ucieszyli.

— A, to wybornie! — chciałbym ubić chociaż z jednego bawołu.

— Miej się pan na ostrożności — powiedział na to Swinton, aby bawół pana nie ubił, gdyż z bawołem nie ma żartu i jest tak niebezpiecznym, jak lew.

— Mniejsza o to — rzekł znówu Aleksander — nie podobna, abyśmy będąc tutaj, mieli pozostawić bawoły w spokoju. Owszem sędzę, żeby to nie zgadzało się z naszym honorem. Nawet i lwa musimy ubić i założymy natychmiast polowanie, skoro natrafimy na pojedynczego.

— Co się tyczy lwa, nie będzie w tém trudności — odpowiedział Swinton — gdyż tutaj właśnie, a zwłaszcza nad rzeką, będzie do tego aż nadto sposobności. Obawiam się nawet, aby téj sposobności nie było za wiele.

Wtém Bremen zaczął znakami zachęcać do zachowania się spokojnie, a sam wyciągnął szyję jak zóraw' i patrzył przed siebie. Podróżni spojrzeli także w tym samym kierunku, i ujrzeli w odległości kilku set kroków, siedm czy ośm antylop, które tuż przy jakiś krzakach pały się spokojnie.

O! — zawołał Swinton — jakbym się cieszył, gdybym mógł dostać z nich z jeden egzemplarz dla swego zbioru! Tak piękne okazy nie często się natrafiają, dla tego, proszę, zróbmy zaraz na nie obławę, zwłaszcza, że możemy dostać się do nich wygodnie, ponieważ i wiatr nam służy i teraz pozwala się podczołgać na strzał niepostrzeżenie.

— Bez wątpienia — rzekł major, tu zsiadając z konia — bez wątpienia, sposobności téj nie opuścimy. Ale trzeba konie tu pozostawić, a my musimy się czołgać aż do owego zagaju.

Podróżni zeszli z koni, które dali Omrze i Swaneweltowi do trzymania, a sami z Bremelem poczęli się czołgać na czworakach, jeden za drugim.

Kiedy się przyczółgali aż pod same krzaki, zauważyli ze zmartwieniem, że odległość jeszcze była za wielka, aby można być pewnym strzału. Było tu w tym miejscu wzgórze, z po za którego ukryci mogli się teraz antylopom przypatrzeć. Antylopy już się nie pały, tylko stały ze szyjami wyciągniętymi, a oczami nieruchomie wlepionymi w zagajkę. Samiec, przepyszne zwierzę z rozsochatymi rogami, stał kilka kroków bliżej zagaju. Łeb miał spuszczone, tak że nosem dotykał ziemi, a przez to rogi jego naprzód były wystawione. Tak samiec, jak i reszta antylop pozostawała w swych pozycjach zupełnie nieruchomie, że zdawało się, jakby to były kamienne posągi zwierząt.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POMPEJI.

Napisał St. W.

(Dalszy ciąg.)

Nagliły także do tego rozliczne niebezpieczeństwa, jako to w r. 1748 często powtarzający się deszcz popiołu, właśnie w tym kierunku spadający; umyślne lub nieumyślne uszkodzenia przez zwiedzających te miejsca podróżnych, kradzieże nieuprawnionych do tego archeologów, a do tego trzeba policzyć samych nawet kustoszów, działających w interesie lordów angielskich i profesorów niemieckich. To też teraz przeszły już nie tylko figi, jaja, chleb z śpiżarni i kuchni, krzesła i kandelabry z pokoiów, posągi i posążki z ołtarzy do muzeum, ale nawet przedmioty drogocenniejsze, jak n. p. mozaiki z podłóg; (niestety tak samo użyte w salach muzeum.) Malowidła ze ścian wyrznięto, i do galerii obrazów oddano. Z początku niszczone nawet wszystkie malowidła, nie przeznaczone przez króla do muzeum, ażeby w cudze ręce nie wpadły. To nie dzieje się już dzisiaj, ale rząd ma wyłączne prawa do starożytności Pompejańskich, a handel niemi dzieje się, jak każde inne przemysłnictwo, potajemnie.

Tak więc stoją dzisiaj mury domów, których dachy gorące deszcze zniszczyły, próżne i nagie.

Więc zwiedziwszy Pompeji trzeba koniecznie zwiedzić muzeum, chcąc nabyć jasnego poglądu na to miasto. Udajmy się z nim raz myślą do tego zapadłego grodu. Idąc drogą, prowadzącą z Herkulanum Via Domicyana zwaną, przybywamy najpierw do willi Diomeda, który jest najpierwszym domem w Pompeji przy ulicy grobowców. Jest ona z prawej strony cała pokryta grobowcami, na lewo otoczona przedmieściem, po większej części jeszcze nieodkopanem. Tak dostajemy się wkrótce do najnowszej i najlepiej zakonserwowanej bramy, teraz stósownie bramą Herkulańską zwaną. Ale i dzisiejszy turysta, przybywający koleją, dobrze zrobi, gdy towarzyszącemu przewodnikowi (cicerone) każe od tej bramy rozpocząć jego objaśnienia. Brama ta ma trzy wchody; największy w kształcie łuku, ma 16 stóp szerokości w środku; z obudwóch stron są dwa małe przechody dla pieszych, 7 stóp szerokie, jak wszystkie

wodociągi u starożytnych, wąskie a wysokie. Głębokość bramy wynosi stóp ośmnaście, a sześć stóp w obwodzie grubość filarów. W środku słupów jest od góry do dołu wycięcie do spuszczenia zwodzonych mostów, lecz dziwnie, że te rynny są gipsem wyłożone. Po tej zewnętrznej bramie następuje druga, o dwadzieścia pięć stóp odległa, tej samej budowy. Zewnątrz jest brama ta pobielana, farbą namalowane na niej różne napisy; ale znać jeszcze, że pod temi dawniej inne się znajdowały, które przez lekkie pobielenie nowym ustąpić musiały.

Słowem mamy tutaj najwyraźniejszy komentarz do tego, przed rokiem 1748ym, zupełnie niezrozumiałego wyrażenia: „Edykta pretorów ogłaszano in albo“, i widzimy, jak Rzymianie w braku afiszów sobie zaradzali. Takie programata (ogłoszenia) znajdują się w Pompeji na bardzo wielu miejscach. Jeden z nich opiewa: „Trupa gladiatorów Aedila, Aulus'a, Swettiusz'a, Ceriusz'a wyprawi 31go Maja igrzyska zwierząt w nakrytym cyrku“. Podobny napis „Trupa gladiatorów Popidiusz'a Ruffus'a będzie walczyła z dzikimi zwierzętami 29go Października w Pompeji, a 20go Kwietnia będzie cyrk nakrytym. Dzięki uprzejmemu ucztodawcy“. —

Od tej to bramy zaczynają się podwójne mury fortyfikacyjne, z wyjątkiem wzmiankowanej wyżej południowo-zachodniej części, w nieprzerwanych śladach przynajmniej. Składają się one z mniej więcej dobrze ociosanych odłamów lawy, a nie zniszczone przez Sulę, zbudowane polygonalnie części muru można jeszcze dość dobrze rozpoznać. Grubość ich wynosi 14 stóp, wysokość zewnętrznych murów 25 stóp, a wewnętrznych 8. W pewnej od siebie odległości są wieże strażnicze o trzech piętrach, które w czasie pokoju, jako publiczne cysterny (studnie) były używane. Te mury także zawierają wiele napisów, i na bramach są również różne ogłoszenia, po większej części pojedyncze nazwiska lub ślady leniwych lazarionów i swawolnej młodzieży. —

Tak rozciąga się to miasto na pół mili długości, z zachodu na wschód. Cały obwód wymierzył Winkelmann na 3860 wielkich kroków. Bram było pierwotnie ośm: Herkulesowa, Wezuwiuszowa, brama Capuańska i Nolańska, brama Sarno, brama prowadząca ku Stabii, brama do teatru i brama do morza. Tej ostatniej brakuje zupełnie, bo w tych miejscach nie było już muru; ale z sześć innych bram nie istnieje już żadna, tylko ślady ich widać w murze fortyfikacyjnym. Ulice, które od tych bram wychodzą, i te, którą je łączą, są prawie wszystkie proste i równe. Tylko ulica grobowców podnosi się nieco w górę w pobliżu bramy. Wszystkie mają 20-30 stóp szerokości. Brukowane są zwyczajną, szarą lawą, dla tego koleje pojazdów są głęboko powrzynane. Po obydwóch stronach są 1—1½ stopy wysokie chodniki, (margines) z ziemi pusolskiej, lub kamieni ociosanych zrobione, mające dwie stopy szerokości, ale na przedmieściu szerokość ich dochodzi czasem ośmiu stóp.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pan Rewieński.

(Z Pamiętników J. Pana Seweryna Soplicy).

Dalszy ciąg.

Skutkiem tego wypadku, kilkunastu nas jurystów pozwano na takty, a na mnie się zmleło. Bo gdy wiza odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały; nie śmiałem odprzysiąc się, lubom tego nie pamiętałem, bo w zapale być to mogło; skarany więc zostałem na sześć niedziel więzy i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny Chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a więzę musiałem odsiedzieć; alem tego nie żałował. Książę Pan, pamiętny żem cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebieby się zrobił. To też przy łasce Księcia Jmci (niech go Bóg błogosławi na wieki), a przy pomocy Bożkiej, z tego się zrobiło wszystko co jest. — Co się zaś tyczy J. W. Kasztelana, przeprosiny Księcia dały mu się we znaki; bo Książę na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajczyc, rezydencji Kasztelana, który będąc wielce oszczędnym, nie mało w duchu się nafrasał, że trzeba było przez dni kilka okazałego i liczego gościa swoim chlebem przyjmować; a rad nierad musiał się okazywać wesółym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pyszny i chciał po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku miał kilka intratnych królewskich.

Tak więc, gdy chmura rozpędzona została, już nic zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem, z powodu zgody jeszcze gościel kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięto się do kijów szklanych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklany był tedy: gdy napełniony go winem przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzany, a za karę wlewano mu za kołnierzą kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie, gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięstwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca, i jemu go oddał napełniony swoją ręką, o własnej sile poszedł do Sędziny, z nią zmówił litaniją do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył zdrow, jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz w ostatni Wtorek, był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczył Pana Symeona Mogilnickiego, Cześnikowicza Nowogrodzkiego, z Panną Agnieszka Hacıską, rodzoną siostrzenicą Sędziego, a w jego opiece będącą. Jęj ojciec, Chorąży Pancerny, szanowny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie konfederacji Barskiej znacznie się odłżył, swoim kosztem sztytując chorągiew, na czele której pod Sobaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony, został zabrany przez Moskwę, zgola że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dzieci: a i ta, niedługo płacząc, złączyła się z godnym małżon-

kiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, co, lubo młody, już najsejdziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro Sędzina więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydzwignął, gdyż cały ojczysty majątek poszedł na satysfakcyą wierzcicieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów, własnym funduszem zaspokoił, a żeby duszę szwagra oczyścić, a jego dzieciom dać wychowanie przystojne. Starszy syn, wyćwiczywszy się w Palestrze, został Regentem Grodzkim Nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u Księcia Wojewody. Starsza córka, Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden majątny kawaler o jęj przyjaźń się starał; ale ona najlepszymi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jęj obłóczynach w klasztorze Panien Benedyktynek Nieświętskich. Sędzina chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrwać do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu Bożkiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczył z W. Cześnikowiczem się odbywały. Z rana gdy się wszyscy przywiązanie syna do Panny Chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotni związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i wychowania Chorążanki, jako też koligacyi z zacnym w województwie domem, więc dla syna o jęj rękę prosił W. Sędziego jako drugiego ojca, a razem Księcia Wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować Księcia, bo co najlepiej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał, i wpół ściskając Sędziego, rzekł: „Panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew”; niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko; bo jak zaskoczy Popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie”.

Ojciec i syn ucałowali kolana J. O. swata za wstawienie się łaskawe; a gdy pan Sędzina oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel, jak W. Cześnik, szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei, że Jagusia wstrętu ku temu nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan Cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo Sędzinie. Książę wziął za rękę Chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał ją: czy zgadza się z wolą wujaszka iść za Cześnikowicza. Chorążanka w płomieniach, ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę: „Głośniej, Jagusiu” — a ta jeszcze więcej się zmięszała. Książę tedy: „No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho, ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą” — i wzięwszy ją wpół, ucho do jęj ust przyłożył. Po niejakiem czasie odważyła się coś szepnąć Księciu, dopiero Książę wyrzekł: „zezwała.” — Biedna Chorążanka ledwo nie zemdląła, kiedy Cześnikowicz padł jęj do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a Chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan Cześnik oświadczył, iż z dwóch wiosek, które posiadał, jedną spuszcza synowi. „Co do mojej siostrzanki — rzekł Sędzina —

jój posag aktom wiadomy: ma ona swoich dwadzieścia pięć tysięcy złotych, które po zapisaniu ewikcyi Panu Cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję.“ Wtenczas Księżę odezwał się: „Na co Pan Karól ma ewikcyą obciążać swój majątek. Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyszlęj Pani Cześnikowiczowej wypuszczę.“

Wszyscy się pokornie skłonili, Księżę powiedział Panu Mikuciowi, że jedną z wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw Pannie Agnieszce Hacińskiej, a jój posag do siebie przyjmuje, i dodał: „Niech inwentarz będzie przyjacielski.“ Pan Mikuć podał registr folwarków do puszczenia będących (który to registr zwykle przy sobie nosił), a gdy Pan Cześnik wybrał Borowicze, folwark w Słuczczyźnie, trzydzieści chłopów mający, Księżę powiedział: „Jaki addytament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borowicz“. Po najpokorniejszych dziękach, Pan Sędzia wyrzekł: „Wasza Księżęca Mość, i wy, szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich obecności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić“ — a wzięwszy pióro, od razu zaczął pisać tranzakcyą, wedle zwyczaju poczynającą się od procendencji państwa młodych. Dziwną łatwość miał Sędzia do napisania: nic go rozerwać nie mogło; nieraz pisząc do dyskursu się mieszał, a omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał, i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnym onej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla Chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jój było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć z nim przed wujostwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed Księciem z intercyzą w rękę, by podziękować mu za szczodrość, i prosić go o podpisanie się za świadka: co JO. Księżę uczynił, naprzesładowawszy Chorążankę żarcikami. Podpisał się także Kasztelan Jeleński i Chorąży Rdułtowski. Nie co dzień czyta się taka intercyza; bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobiły ją mitry, krzesła i orderzy. — Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli Sędziny, pomimo licznych próśb, aby go przyspieszyć. A to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża rzekła: „Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już zbliża się rok szesnasty jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam“.

(Dokończenie nastąpi).

Pamiętniki Starego Żołnierza,

napisane przez

Białyniaka.

(Ciąg dalszy).

47. Zbrojna ucieczka do Kongresówki.

Nastąpił dzień 5go Grudnia; o godzinie 3ciej rano uderzono w bębny na pobudkę. Muzyka, która nam zwykle

przygrywała wesołe marsze przed naszymi marszami, dziś właśnie jakąś przerażającą zagrała symfonią. Potem było zwołanie, a gdy wszystko wojsko stanęło ściśnione w szeregi, nadjechał pułkownik, kazał stanąć do modlitwy i wyniesiono sztandary. Poczem się rozpoczął marsz. Każdy batalijon w pewnej odległości jeden od drugiego postępował naprzód, z tyłu zaś zazwyczaj szły furgony z bagażami, na samym końcu szła ariergarda, czyli tylna straż. O godzinie 4tej już nas we Lwowie nie było. O 8mej rano stanęliśmy w Janowie na odpoczynek, gdzie zjedliśmy po 6ciu na jednej kwaterze gotowane śniadanie. Około 11tej godziny wyszliśmy w marsz do Niemirowa; z Niemirowa, gdzieśmy po przykrych trudach nocleg odprawili, poszliśmy do Lubaczowa; tam znowu było śniadanie, a o 11stiej znowu odeszliśmy do Oleszyc i aż do Sieniawy, które to miasto jest własnością książąt Czartoryskich; ze Sieniawy poszliśmy do Leżańska, gdzie jest cudowny obraz Matki Bożkiej, a o 12tej odeszliśmy do Niska, to było dnia 8go, a dnia 9go o 9tej godzinie przybyliśmy do Rozwadowa, gdzie zjadłszy śniadanie, w południe odeszliśmy do Radomyśla na noc.

Już od Rozwadowa zaczęły się niektóre kompanie z pierwszego batalijonu rozchodzić na swoje stanowiska aż ku Zadlikowu, stając w najbliższych wsiach przy samej granicy. Nasz batalion szedł dalej; z Radomyśla zaczęły się znowu kompanie drugiego batalionu rozchodzić. Nasza kompania otrzymała dwie wsie, niby to na zimowe leże. Kapitan i podporucznik, oraz kwazyfeldwebel Lange i z nini pół kompanii wojska, pozostali w Orzechowie. Drugie pół kompanii pod rozkazem porucznika, z którym był podchorąży i ja, jako starszy feldwebel, stanęliśmy w Chwałowicach przy samej granicy, już za Sanem, niedaleko od Wisły. Gdyśmy przyszli do Chwałowic już na nas czekali wieśniacy, aby rozprowadzić wojsko po kwaterach; w jednym domu stanęło po 4 żołnierzy. Tu mieliśmy oczekiwać dalszych rozkazów z general-komendy; tymczasem kazano nam obsadzić mocno granicę, aby te buntownicy nie poważyły się wpaść do Galicyi i pobuntować wiernych cesarskich poddanych.

Było to właśnie dnia 10go Grudnia, gdyśmy przybyli do Chwałowic. Gdy się żołnierze rozeszli po kwaterach, porucznik kazał zwołać wszystkich chłopów, aby się zeszli przed jego kwaterą, która była w karczmie; moja kwatera była w pierwszym domu przy karczmie; z drugiej strony karczmy była postawiona warta, niby to odwach, lecz żołnierz, który tam stał, niby na sznarpoście, nie nosił karabina na ramieniu, ale chodził sobie wolno i uważał, co się we wsi dzieje.

Gdy się chłopie zeszli, porucznik wydał im rozkaz, aby uważali na żołnierzy: o czym będą gadali, żeby się zaś nie zrywali, aby uciekać do Kongresówki, żeby w nocy nie wychodzili z domu z bronią, chyba tylko ci, którzy są komenderowani w nocy na patrol. Gdyby coś podobnego miało nastąpić, natenczas każdy gospodarz obowiązany jest zaraz o tym donieść do komendy, bo gdyby który żołnierz uciekł, tedy chłop musi za niego iść służyć we wojsku, chociażby miał 8ro dzieci. Rozkaz ten ja sam chłopom tłómaczyłem. Potem zwołano żołnierzy do befulu (apelu). Gdy się już najedli i odpoczęli, ja przeczytałem instrukcyą co do straży granicznej, wykomenderowałem żołnierzy na wartę i na nocne patrole, i zaraz rozpoczęła się służba graniczna. Rozprowadzono straż na linii granicznej, tak że jeden żołnierz musiał widzieć dwóch obok siebie stojących. Sam chorąży

rozprowadzał i rozstawiał strażę. Późem reszta żołnierzy zaraz rozeszła się do domu.

Podczas naszych marszy nie słyszałeś inną rozmowy pomiędzy żołnierzami, jak tylko tę, żeby się złączyć z Polakami i tego tłuc Moskali; każdy żołnierz pałał żądzą przedkiego przejścia przez granicę; jeden drugiemu powierzał swe najskrytsze myśli, aby tylko się można dostać do braci i śpieszyć do boju. Duch był dobry, ale trudno było przejść do czynu. Każdy tylko pytał się drugiego:

- A ty pójdziesz?
- Gdzie?
- Do Warszawy!
- O to się nie pytają, tylko bez pytania idą.
- Wiele was zmówionych?
- Trzynastu, sami Polacy, tylko dwóch Rusinów.

Takie to były rozmowy pomiędzy żołnierzami; wszyscy zaczęli się zmawiać, że pójdą bić Moskali. Nieraz w obec oficerów mówili, że tu nie ma co robić, bo nas tu tylko kuniują wizytami na różne rzeczy, a do wojny nie prowadzą. Aż ja nieraz gadałem do nich, żeby byli cicho, bo gdyby się był pułkownik o tym dowiedział, co pomiędzy sobą rozmawiali, to byłby połowę żołnierzy odesłał do sztraf-garnizonu. Słowem przez cały marsz ze Lwowa aż do granicy nie słyszałeś innej rozmowy, jak tylko o Warszawie i o tłuczeniu Moskali. Nieraz głośno wołali:

— Bracia! teraz się zbliża pora naszego oswobodzenia. Pójdziemy do braci, będziemy bić Moskali i t. p.

Każdy miał jedne i te same myśli:

— Polska się odradza! Polska z grobu powstaje! Polska wzywa swych synów, by się zemścili za jej sromotne kajdany! Idźmy tam, będziemy bronili Ojczyzny wspólnymi siłami itd.

— Ale jakże to, kiedy, i jakim sposobem? zapytywał inny.

— Czynyhać przez granicę! Skoro zrobisz trzy kroki, to już jesteś wolnym! Tu nam się pora nadarza i droga otwiera. Czas zrzucić jarzmo despoty, połączyć się z bracią, uderzyć na wroga i wykurzyć go aż za Wołgę, lub za Uralskie góry itp.

Po befelu ja z moim ulubionym kolegą Dobrzańskim wyszliśmy wolnym krokiem ze wsi prosto ku granicy, nie dla tego, aby się przerzuwać i dezertować, lecz dla tego, aby za dnia zlustrować granicę i dobrze zrekonoskować, któreby było można tam puścić się podczas nocy, aby nie trafić na jakie przeszkody. Stajemy; widzimy, że strażę stoją z podwojoną bacznością. Każdy gorliwie pełni swoje obowiązki, do czego go wymuszona przysięga zniewała.

Wtém spostrzegliśmy zdaleka człowieka czarno ubranego. Był to polski strażnik graniczny, który obchodził pieszo zdala od granicy. Ja kilka razy krzyknąłem donośnym głosem, a on stanął i patrzy, potem kiwając ręką wołałem go, aby się do nas zbliżył. Z początku niedowierzał; co uszedł kilkanaście kroków, to stanął, widząc rozstawionych żołnierzy na linii granicznej, jakoby na oblławę. Lecz ja go ciągle wołałem, kiwając ręką, aż też nakoniec zbliżył do nas i zapytał:

— Czego panowie żądacie?

Tymczasem mój żołnierz, stojący na straży, rzekł do mnie:

— Panie feldwebrze, tu nie wolno wołać ze strony polskiej nikogo; a gdyby się kto chciał tu przedrzeć przez granicę, to ja mam prawo strzelić do niego.

Na to taką dałem mu odpowiedź, że ja tylko chce się dowiedzieć co tam słyszać w Warszawie, a potem on wróci napowrót do swego miejsca, my zaś do wsi się wrócimy, aby żołnierzom opowiedzieć co się tam dzieje. Potem rozpoczęliśmy pogadankę ze strażnikiem. Zapytałem go co robią Polacy, czy myślą dobrze bić Moskali, i czy się już zbroją?

— Oto panowie, wszystko tu dobrze słyszać, okrutnie biorą rekrutów, rozpoczęła się organizacja na wielką moc, tylko nam braknie wyćwiczonych żołnierzy, z którychby zaraz zrobiono sierżantów, a ze sierżantów robią oficerów, to pierwsze; przytém mamy wielki brak broni i amunicji. Gdybyście panowie, jako Polacy, dostarczali nam strzelb, tobyście nam wiele dopomogli do naszej organizacji, a my byśmy za to dobrze zapłacili, czy to za broń, czy za amunicję, a choćby też i ludzie tu przybywali, gdyż, jak mówię, wielkie armije zaczynają organizować, trzeba nam dużo broni, amunicji i młodzieży, a o resztę nie dbamy, bo pieniędzy dosyć mamy, w Bogu nadzieja, że pokonamy Moskwę.

Potém zapytałem go się:

— Czyby nas tam przyjęli, gdybyśmy się tam puścili, czyby nas nie wydali w ręce Austryjaków?

— Uchowaj Boże, odpowiedział, owszem, każdy z wojskowych dostąpi zaraz wyższego awansu.

— Więc my tu dziś na wieczór przyjdziemy oboje z bronią, z ładunkami i całym pakunkiem, ale proszę zaraz nas zaprowadzić do Zawichostu, abyśmy uszli napaści i schwytania przez Austryjaków.

— Otóż panowie, zbliżcie się tam do tego dębu, a ja tam na was czekać będę i potém zaprowadzę was tam, gdzie sobie panowie życzą.

Powziąwszy od strażnika sposób naszego przesiedlenia się, przedsięwzięliśmy działać bez namysłu, na chybi trafi... gdyż nie było chwili do stracenia. Skorośmy powrócili do wsi, zaraz wypakowałem sobie tornister, tj. bieliznę i inne drobne a potrzebne rzeczy, tak że byłem zupełnie gotowym do marszu, tylko czekałem, aż tambor capstrzyk odbije, bo trzeba było jeszcze raport odesłać kapitanowi do Orzechowa, gdzie też się bawił i porucznik, grając z nim w karty.

Ja choć miałem ducha dobrego i chęć do powstania, jednakże nie namawiałem nikogo do ucieczki. Chociaż chwaliłem, że Polacy zuchy, że wygnali Moskali, że chwaty, alem milczał i nikogo nie wyprawiałem za granicę, bo dobrze wiedziałem, czém to pachnie. Milczałem, bo mi tak radziły roztropność i przezorność, ale tylko myślałem o sobie i o Dobrzańskim. Lecz ten znowu kochał Sadowskiego, herbu Nałęcz, któremu się zwierzył, ten znowu powiedział temu, a ten temu, a ten znowu temu, i tak dalej, aż ich się tam zebrało pod przecznanym dębem 45ciu razem. Ja tylko wiedziałem o jednym Dobrzańskim, a każdy z nich wiedział już o dębie, i że ich trzech razem czmyhnie. Więc co do rangi i liczby zebrało się tam 6ciu podoficerów, pomiędzy temi dwóch kadetów, 39ciu młodzieży prostych żołnierzy, a pomiędzy tymi jeden tambor, co Polacy doboszem zowią. Słowem, zebrało ich się tam 45ciu ludzi, nim ja tam na miejsce dążyłem. Zbliżył się wieczór. Dobosz Wiśniewski, szlachcic herbu Rumult, odbił capstrzyk i już nie wracał do swojej kwatery, tylko się zaraz zabrał do podróży

z bębniem, bo i bębnow Polska potrzebowała. Po capstrzyku dwóch podoficerów przyszło do mnie z raportem, że się wszystko po kwaterach znajduje i nie stało się nic nowego. Po odebraniu raportu podług codziennego zwyczaju na wieczór, spisałem i odesłałem na karteczkę raport kapitanowi przez gefrajtra do Orzechowa, sam zaś poszedłem do karczmy, gdzie stali oficerowie, aby oddać raport fenrychowi (chorążemu), gdyż porucznik odszedł był pieszo do Orzechowa, aby się tam zabawić w karty z kapitanem i podporucznikiem. Odchodząc od fenrycha wstąpiłem do karczmy, aby wypić kieliszek wódki, gdyż się zbliżały mrozy. Wtém wchodzi żołnierz do karczmy, niby to mnie szuka. Pytam go czy to już po capstrzyku?

On mi na to mówi, że jego pan (tj. Dobrzański), zabrał ze sobą całe zak und pak (swój pakunek) i gdzieś wyszedł z bronią.

Tu go zapytałem:

— Czyś ty był na befelu?

— Byłem, proszę pana feldwebela.

— Czyś ty nie słyszał, że ja twego Pana wykomenderował na wach-patrol?

— Słyszałem, ale na cóż on zabrał ze sobą zak und pak?

— Czy to ty tego nie wiesz, że każdy żołnierz wychodząc na noc z kwatery musi zabrać ze sobą wszystkie bagaże, aby się takowe w nocy nie spaliły, gdyby ogień wybuchł niespodzianie?

— Ja to wiem, proszę pana feldwebela, ale na cóż on upakował w tornister wszystkie swoje zachy i klajnickajty, kiedy zawsze w tornistrze nosił tylko słomę?

— Otóż, ośle, nie twoją rzeczą pilnować podoficerów, ale ich rzeczą jest pilnować takich łajdaków, jakim ty jesteś, aby się po capstrzyku i po nocach nie wałęsali po karczmach; rozumiesz? Wię twoj pan, kiedy ma co robić, i kiedy co nosić w tornistrze. A teraz ruszaj sobie, marsz na kwaterę!

— Nie, ja muszę o tym donieść panu fenrychowi, bo on mi mówił, żebym się z nim zabiierał do Polski.

Już mi też brakło cierpliwości, porwałem go za kark i wyrzuciłem go za drzwi, mówiąc te słowa:

— Pan fenrych od ciebie raportu nie potrzebuje, bo go otrzymał odemnie, marsz na kwaterę!

Tu krzyknął żołnierz:

— Za co mnie Pan wyrzucasz za drzwi, alboż to ja pies?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szarada.

Pierwszy wsteczny drobny,

Do piasku podobny.

Pierwsza i trzecia jest znakiem uznania,

Wszystka lekarstwo — ot koniec zadania.

Rozwiązanie Szarady z Nr. 234 „Oświaty“.

**I. Kieł-ba-sy. II. Ku-kuł-ka. III. Bie-sia-da.
IV. Ob-rą-czka.**

Odgadli dobrze: *Ksawery Reykowski z Poznania, Kazio Łubieński z Krakowa i Jan Białut z Goczałkowic.*

Wszystkim trzem przyznano nagrody.

Wzwanie do przedpłaty na książkę:

Pamiętna

NOC LISTOPADA

czyli

Dzieje wojny narodowej z r. 1830 i 31

wnukom opowiedziane

przez

Żołnierza Czwartaka.

Wydanie Jubileuszowe.

Licząc na stósowny udział, ustanawiamy

Cenę tylko 50 fen.

Kto chce mieć egzemplarz oprawny, dopłaca 10 fen. Kto zamawia 10 egzemplarzy, dostaje te książki franko; kto mniej, ten dopłaca 10 fen. na przesyłkę od każdego egzempl.

Ekspedycja „Gońca Wielkopolskiego“.

Polecamy ostatnie egzemplarze książeczki:

HISZPANKA,

czyli

Żona skazanego na śmierć.

Powieść

p. p. W. hr. Rozdr.

Cena egzemplarza 60 fen., za co franco.

Pamiętniki

Makryny Mieczysławskiej

Ksieni Bazyliańek w Mińsku,

wyszły w osobnej książeczce i kosztują 50 fen. z przesyłką i frankaturą.

**Wydawnictwo Jim. X. Fr. Bażyńskiego
W. Simon.**

Nie tylko każdemu choremu,

lecz i zdrowym, osobiście zaś każdemu ojcu rodziny poleca się broszurkę o 112 str. „Wyciąg bezpłatny z Dra Airy metody naturalnego leczenia.“ Richtera ck. nadw. księgarnia nakładowa w Lipsku (Richter's Verlags-Anstalt in Leipzig) przesyła to ważne i pożyteczne dla cierpiących dziełko na żądanie każdemu bezpłatnie i franco. Tak „Wyciąg bezpłatny“ jakoteż i oryginalne, obficie ilustrowane dzieło o 500 przeszło stron. kosztujące 1 M. = 65 Xr., z przesyłką pocztową 1 M. 20 fen. ± 75 Xr. wydane są w języku polskim. To ostatnie dostać można we wszystkich księgarniach, lub sprowadzić wprost z Lipska.